

# Pożar wagi państwowej

Jakub Szumski

**Dla stojących w korkach mieszkańców Warszawy nie będzie to może dużą pociechą, ale tegoroczny pożar mostu Łazienkowskiego nie był pierwszy. Gdy do zapalenia się przeprawy przez Wisłę doszło czterdzieści lat temu, kraj huczał od plotek. Milicja badała sprawę, ale ludzie nie wierzyli, że potężny most może tak po prostu zapłonąć.**

**W**iktor Mikusiński we wrześniu 1975 roku był oficerem Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej. Pracował w specjalnym zespole odpowiedzialnym za duże katastrofy. – Najgorsze wypadki zdarzały się zawsze po 16.00, gdy wszyscy zbierali już się do domów, w przypadku mostu było podobnie – opowiada. We wtorek 23 września od dyżurnego przyszedł meldunek o pożarze mostu Łazienkowskiego. – Nikt początkowo nie chciał wierzyć, że pali się żelbetowy most –

dodaje były milicjant. – Na monitorach stanowiska kierowania zobaczyliśmy wielki dym, który widać było z kamery umieszczonej na pl. Na Rozdrożu – wspomina. Mikusiński wraz z dwoma funkcjonariuszami udali się na miejsce.

## Płonie most

Gdy zjawili się tam o 16.30, na miejscu pracowali już milicjanci z komendy dzielnicowej. Pożar objął most na prawie całej długości, paliła się asfaltowa nawierzchnia.

Akcja gaśnicza zaczęła się o 16.18 i trwała do północy. Gaszenie mostu było

wyjątkowo trudne – brakowało doświadczenia i specjalistycznego sprzętu. W akcji brało udział 27 zastępów strażackich, dwóch funkcjonariuszy odniosło obrażenia. W rejon mostu nie udało się sprowadzić barki gaśniczej, która utknęła na mieliźnie. Długo nie padało, stan rzeki był niski. Trzeba było korzystać z jednostek należących do ZHP i z nich polewać konstrukcję. Świadkowie twierdzili później, że gaszenie było prowadzone nieudolnie, a użycie większych sił zduśliłoby ogień w zarodku. Nawierzchnia została uszkodzona, w niektórych miejscach asfalt wyrzucił się na wysokość pół metra. Most trzeba było wyłączyć z ruchu.

Szybko udało się ustalić, że źródłem ognia była drewniana budka wartownicza znajdująca się na lewym brzegu Wisły pod jednym z przeseł. Od płonącej budki zapalił się drewniany pomost konserwacyjny biegnący pod nawierzchnią, a następnie znajdujące się w nim kable elektryczne i telekomunikacyjne w gumowych izolacjach. – Na pomost przy wszelkich pracach i remontach rozlewały się łatwopalne farby i smary, wybuch był właściwie kwestią czasu – twierdzi Mikusiński.

Pożar budki zauważył dozorca pilnujący budowy na Cyplu Czerniakowskim. Próbował zdławić ogień za pomocą przenośnej gaśnicy, lecz ta odmówiła posłuszeństwa. Po chwili było już za późno – siedmiometrowe płomienie lizały konstrukcję mostu. Zdarzenie zaobserwowali także milicjanci rutynowo patrolujący Wisłostradę. Gdy zauważyli wydobywający się spod mostu dym, na sygnale pojechali na miejsce. Widząc, że sami nie opanują pożaru, zadzwonili po straż. ▶

▶ Dwa dni przed pożarem mostu Łazienkowskiego w płomieniach stanął Centralny Dom Dziecka w warszawskich Alejach Jerozolimskich; na zdjęciu: akcja gaszenia budynku, 21 września 1975 roku



► Akcja gaszenia mostu Łazienkowskiego, 23 września 1975 roku

### Gorący wrzesień

W ówczesnej Polsce każde nadzwyczajne wydarzenie było traktowane niemal jak naruszenie porządku politycznego. Co dopiero fakt tak nietypowy, jak zapalenie się jednego z nielicznych mostów w stolicy. Jakby tego było mało, we wrześniu 1975 roku w Warszawie doszło jeszcze do kilku spektakularnych pożarów.

W niedzielę 21 września, dwa dni przed spaleniem się mostu Łazienkowskiego, ogień wybuchł w Centralnym Domu Dziecka w Alejach Jerozolimskich – pod taką nazwą funkcjonował wówczas Dom Towarowy „Smyk”. Pożar pojawił się tam wieczorem, gdy budynek był od ponad doby zamknięty. Trzy kondygnacje reprezentacyjnego domu handlowego doszczętnie spłonęły, a nad miastem przez dłuższy czas unosiła się łuna. Władze podały, że

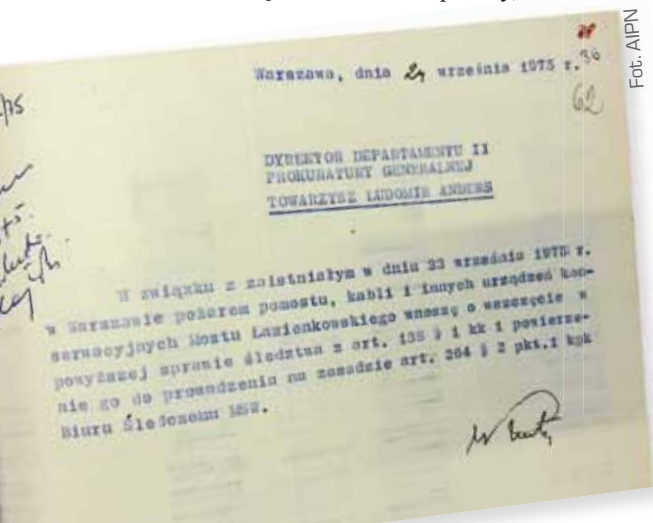
przyczyną pożaru było zwarcie elektryczne w mechanizmie schodów ruchomych, które spowodowało samozapalenie się dywanów wystawionych w pomieszczeniach handlowych. W następnych dniach miały miejsce jeszcze dwa duże, ale mniej znane opinii publicznej incydenty. W czwartek późnym wieczorem ogień pojawił się na terenie Wyścigów Konnych na Służewcu. Spłonęły stodoły i stajnie – podejrzewano celowe podpalenie. W kolejną niedzielę zaś pożar wybuchł w Zakładach Elektrycznych im. Róży Luksemburg na Woli. Tym razem miało to być wypadek wynikający z nieprzestrzegania zasad bezpieczeństwa.

W ciągu tygodnia, od 21 do 28 września 1975 roku, wybuchły więc w Warszawie cztery duże pożary. Na ich temat w lokalnej prasie ukazywały się tylko krótkie notki. W innych województwach gazety w ogóle nie informowały o warszawskich pożarach, zamieszczały za to doniesienia o katastrofach na Zachodzie. Społeczną wyobraźnię zdecydowanie najbardziej rozpałały wydarzenia związane z mostem Łazienkowskim. Z braku informacji i zaufania do ustaleń władz, interpretacje niezrozumiałych zdarzeń szybko przeszły w sferę pogłosek i plotek.

### Siedem pożarów na VII Zjazd

Seria pożarów była łączona z zapowiadaną przez I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka podwyżką cen papierosów i przejazdów kolejowych i traktowana jako element walki wewnątrz partii i tajnych służb. Podpalenia miały zdestabilizować sytuację, osłabić pozycję Gierka i umożliwić jego konkurentom przejęcie władzy na – przewidzianym na grudzień – VII Zjeździe Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. W pogłoskach pojawiali się nawet potencjalni podejrzani. Z jednej strony nieulubiany premier Piotr Jaroszewicz – uznawany za odpowiedzialnego za niedostatek towarów w sklepach i podejrzewany o bliskie kontakty z Moskwą. Z drugiej jako prawdopodobnego podpalacza wskazywano Franciszka Szlachcica, byłego ministra spraw wewnętrznych i sekretarza KC, odsuniętego od władzy w 1974 roku. Miał on w ten sposób, przy pomocy lojalnych ludzi z MSW, mścić się za odsunięcie go od kierowania resortem i liczyć na powrót do władzy na VII Zjeździe. Plotki o tym, że to gen. Szlachcic jest odpowiedzialny za pożary, miały dużą nośność – powtarzano je jeszcze w latach osiemdziesiątych.

Hipotezy bardziej radykalne głosiły, że pożary to – jak się wyraził jeden z tajnych współpracowników SB, opisujących ówczesne nastroje – „sabotaż zewnętrzny”, zmierzający do wywołania paniki w całym kraju. Powtarzano zasłyszane informacje ze śledztwa. W okolicach mostu Łazienkowskiego feralnego dnia miały się kręcić niezidentyfikowane osoby. Przekonywano, że zniszczenia są tak znaczne, że do ich spowodowania musiały zostać użyte materiały wybuchowe z magazynów wojskowych. Napięcie nie ograniczało się tylko do stolicy. „Niepokojące dane z frontu przeciwpożarowego” przy-



nosił trójmiejski „Dziennik Bałtycki”. Na Pomorzu ogień regularnie pojawiał się w PGR-ach i u rolników indywidualnych. „Alarm przeciwpożarowy trwa” – przypominał autor publikacji. Czy tam też działali tajemniczy podpalacze?

Objawem społecznej psychozy były hasła z ulotek kolportowanych w Warszawie. O ulotkach wiadomo niewiele, ale hasła z pewnością były przekazywane z ust do ust. W końcu września weszło do obiegu to najbardziej znane: „siedem pożarów na VII Zjazd”, mające zapowiadać kolejne katastrofy. Przypomnijmy: VII Zjazd PZPR miał się odbyć dopiero w grudniu 1975 roku. Niektóre ówczesne komentarze były raczej wynikiem frustracji spowodowanej stanem gospodarki. „Papierosy podrożały, mamy nie palić – to będzie się palić Warszawa” – można było usłyszeć. Stwierdzenie, że „partia pali się do zjazdu”, przywitanie „niech będzie podpalony” czy sugestię, że w barach nie będzie już podawany kotlet pożarski, można uznać za rodzaj dowcipu politycznego. – W milicji nikt tych rewelacji nie traktował poważnie – opowiada Wiktor Mikusiński – ale hasło „siedem pożarów na VII Zjazd” na stałe weszło do miejskiej legendy Warszawy.

Mimo wszystko Ministerstwo Spraw Wewnętrznych – teoretycznie poinformowane najlepiej – nie czuło się komfortowo. Od końca września zaczęło skrupulatnie zbierać od straży doniesienia o wszelkich pożarach w stolicy. Codziennie miały też miejsce fałszywe alarmy i telefony z pogróżkami o podpaleniach. Fałszywie alarmowano o pożarze Powszechnego Domu Towarowego „Praga”, Mostu Śląsko-Dąbrowskiego, Pałacu Kultury, hotelu „Forum”, stacji benzynowych. Mężczyzna dzwoniący z budki telefonicznej zapowiadał spalenie gmachów Komitetu Centralnego i sejmu. Inny telefonujący, który przedstawiał się jako „mjr Iwańczuk”, wielokrotnie ostrzegał przed groźnymi pożarami w Domach Towarowych „Centrum”.

### „Góra” przejmuje śledztwo

Wyjaśnienie przyczyn pożaru mostu Łazienkowskiego było sprawą o dużym znaczeniu politycznym. Zakładano, że szybki

sukces śledztwa uspokoi nastroje społeczne, rozwieje pogłoski i spekulacje. Po kilku dniach dochodzenie przejęła centrala MSW. – Powiedziano nam, że mamy przekazać zebrane materiały – wspomina Wiktor Mikusiński. 26 września powołano specjalny zespół składający się z wysokich oficerów Służby Bezpieczeństwa i Biura Śledczego MSW.

Podstawowe okoliczności zdarzenia zostały ustalone właściwie już w pierwszych dniach. Wiadomo było, że most się zapalił od budki strażniczej. Pozostawało pytanie: kto spowodował jej pożar? Eksperyment na potrzeby śledztwa, przeprowadzony w milicyjnej strzelnicy na Sierkierkach, wykazał, że budka mogła się zająć ogniem w sposób przypadkowy – na przykład od niedopałka papierosa. Należało więc dokładnie ustalić, kto 23 września po południu przebywał w jej okolicach i kto mógł spowodować pojawienie się ognia.

Nie było to wcale proste. Na lewym brzegu Wisły obok przeprawy trwała budowa Wisłostrady oraz umacniano wały przeciwpowodziowe. Pracowało tam wielu robotników. Place budowy były nieogrodzone i każdego dnia poruszało się tam mnóstwo niepowołanych osób, przede wszystkim młodzież i dzieci. Dla uczniów z okolicznych szkół podstawo-

wych i średnich było to jedno z ulubionych miejsc zabaw i spędzania wolnego czasu. Bywali tam też harcerze oraz członkowie klubów żeglarskich. Prawie wszystkich trzeba było przesłuchać.

Robotnicy nie chcieli współpracować z milicją. Jak donosili ulokowani wśród nich informatorzy, wzajemnie naciskali na siebie, aby mówić jak najmniej. Do zachowania milczenia namawiał też kierownik budowy, obawiając się – słusznie, jak się potem okazało – że przy okazji wyjdą na jaw inne nieprawidłowości. Zeznania nie wniosły do sprawy niczego, przesłuchiwanie odpowiadało wymijająco, ciągle zastanawiali się niepamięcią. Pożary były traktowane przez robotników jako porażka władz, co było wręcz powodem do satysfakcji. Jeden z pracujących przy budowie Wisłostrady miał powiedzieć, że „jak będą tak dalej rządzić, to im całą Warszawę spalą”.

Wielkie trudności sprawiała „praca operacyjna” wśród uczniów okolicznych szkół. Przesłuchania rozpoczęto od młodzieńców, których można było posądzić o skłonności piromańskie. Badano też, czy ze szkół nie zniknęły materiały łatwopalne, takie jak sól czy fosfor. Efekt był mizerny. Wielu chłopców, chcąc zrobić wrażenie na kolegach, zwyczajnie konfabulowało. Często opowiadali zmy- ➤



ślone historie: o rzuconych w stronę mostu butelkach z benzyną; o podpaleniu go ropą, a także o kolejnych osobach, które miały przebywać feralnego dnia w pobliżu budki.

Świadkowie przedstawiali sprzeczne wersje wydarzeń. Ktoś wspominał o drabinie opartej o filar mostu, którą widział w dniu pożaru. Ktoś inny mówił o człowieku kręcącym się wokół budki, a następnie uciekającym w stronę przystanków autobusowych. Milicjant, który pierwszy przybył na miejsce, w pewnym momencie zaczął twierdzić, że oprócz dozorczy w dniu pożaru widział jeszcze dwie inne osoby. Odtworzenie przebiegu wypadków stawało się coraz trudniejsze.

Zakładano podsłuchy i zlecano kontrolę korespondencji, zbierano masę danych. Śledztwo prowadzono też w kierunkach niezwiązanych z pożarem – badano nieprawidłowości finansowe na okolicznych budowach i przeszłość zatrudnionych tam robotników. – Służba Bezpieczeństwa próbowała z pożaru uczynić sprawę większą, niż była ona w rzeczywistości, a przy okazji zebrać jak najwięcej przydatnych dla siebie informacji – twierdzi Mikusiński.

### Nieostrożna zabawa

Od końca października w wielu zeznaniach zaczęła się pojawiać informacja o ognisku palącym się po południu nieopodal budki. Idąc po nitce do kłębka, na postawie wielu pokrywających się świadectw, ustalono, że 23 września trzech uczniów szkoły podstawowej na Powiślu przebywało na Cyplu Czerniakowskim i rzeczywiście paliło tam ognisko.

Personalalia chłopców, którzy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa spowodowali pożar, udało się ustalić na początku listopada. Okazało się, że 23 września trzech uczniów z jednej klasy szkoły podstawowej przy ul. Czerniakowskiej wcześniej niż zwykle zostało zwolnionych do domów – brali udział w tzw. czynie społecznym na terenie warszawskich Filtrów. Około 14.00 udali się na Cypel Czerniakowski w pobliże przesyła mostu. Już wcześniej często tam przychodzili, poszukując różnych ciekawych znalezisk. Mówiło się, że można

tam natrafić na elementy wyposażenia wojskowego – pamiątki po szturmie na przyczółek czerniakowski z 1944 roku. Chłopcy postanowili rozpalić ognisko i wrzucać do niego kasztany. Zrobili to dwa metry od budki strażniczej, wyrzysując kawałki słomy wyrwane z leżących nieopodal mat. Ognisko podłali olejem silnikowym, którego butelkę znaleźli po drodze.

Zabawa znudziła im się po półgodzinie i przystąpili do zasypywania ognia. Przyznali, że zrobili to niedokładnie i gdy odchodzili, ogień jeszcze się tlił i wydobywał się dym. Zlekceważyli to jednak, uznając, że tak mały ogień nie może spowodować większego zagrożenia.

O pożarze mostu dowiedzieli się dopiero wieczorem. Jeden z nich pobiegł nawet na miejsce, by zobaczyć z bliska, co się dzieje. Gdy zrozumieli, że pomost konserwacyjny zajął się ogniem od drewnianej budki, zaczęli się niepokoić. Jeden z chłopców o tym, co robił 23 września, opowiedział pracującemu na nabrzeżu ojcu. Ten polecił mu, by w wypadku przesłuchania odpowiadał milicji, że był tego dnia pod mostem, ale pod żadnym pozorem nie wspominał o rozpalonym tam ognisku. Pozostali chłopcy – jak twierdzili – nikomu o incydencie nie mówili. Do wszystkiego przyznali się dopiero po konfrontacji z prokuratorem i śledczymi z MSW.

Przebieg wydarzeń odpowiadał wcześniejszym opiniom kryminalistycznym. Pożar rozpoczął się ok. 15.00, drewniana i obita papą budka zapaliła się od niedogaszonego ognia zaproszonego przez chłopców, co ostatecznie doprowadziło do katastrofy. Taki przebieg wydarzeń był zdecydowanie mniej spektakularny niż wewnątrzpartyjny spisek i celowe podpalenie mostu, ale wersję tę przyjęto jako ostateczną. W kwietniu 1976 roku sprawę zakończył wyrok sądowy – uznano winę chłopców, ale umorzono wobec nich postępowanie, oddając ich pod nadzór rodziców.

### Nieszczęśliwy zbieg okoliczności

Sama – jak to określali milicjanci – nieostrożna zabawa chłopców nie wystar-

czyłaby, aby doszło do takiej tragedii. Na pożar mostu Łazienkowskiego złożyła się seria nieszczęśliwych przypadków i niedopatrzeń.

Przypomnijmy: na terenie budowy pod mostem kręciło się wielu ludzi, był on nieogrodzony i wejść mógł tam prawie każdy. Nie przestrzegano podstawowych zasad bezpieczeństwa: luzem były składowane materiały budowlane, w tym słomiane maty, które posłużyły chłopcom do rozpalenia ogniska. Niebezpieczeństwo pożarowe powodowały biegnące po pomoście i źle zabezpieczone kable elektryczne i telekomunikacyjne, co groziło zwarciami. Sam drewniany pomost nie był zabezpieczony przed pożarem – użyty do jego konserwacji impregnat w wysokiej temperaturze zadziałał wręcz jak materiał łatwopalny, roznosząc ogień po całej nawierzchni. Dyrekcja mostu nie dopuszczała władz miejskich do regularnych kontroli. Co najgorsze, jak ustaliły inspekcje prowadzone w 1975 i 1976 roku, podobnie wyglądał stan bezpieczeństwa innych strategicznych przepraw w kraju.

Wszystkie śledztwa w sprawie wrześniowych pożarów zakończono w połowie grudnia 1975 roku. MSW stwierdziło stanowczo, że „brak jest jakichkolwiek sygnałów, które wskazywałyby na istnienie związków między pożarami i uzasadniały hipotezę, iż były one wynikiem zorganizowanej akcji”. Za wzorowe wyjaśnienie sprawy grupa oficerów Służby Bezpieczeństwa otrzymała wysokie nagrody pieniężne.

Po pewnym czasie temat zniknął z raportów o nastrojach społecznych. Do kolejnych pożarów na szczęście już nie doszło. Sprzeczne zeznania, które wyłaniają się z lektury akt, sprawiają, że do dziś niektórzy podają w wątpliwość oficjalne ustalenia z 1975 roku. Wszystko wskazuje jednak na to, że wbrew rozmaitym spekulacjom przyczyny pożaru były zupełnie prozaiczne. Warszawy nie sparaliżował gen. Szlachcic. Dokonało tego trzech dwunastolatków – co także jest wielce niepokojące. ❁

Jakub Szumski – historyk, doktorant w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk